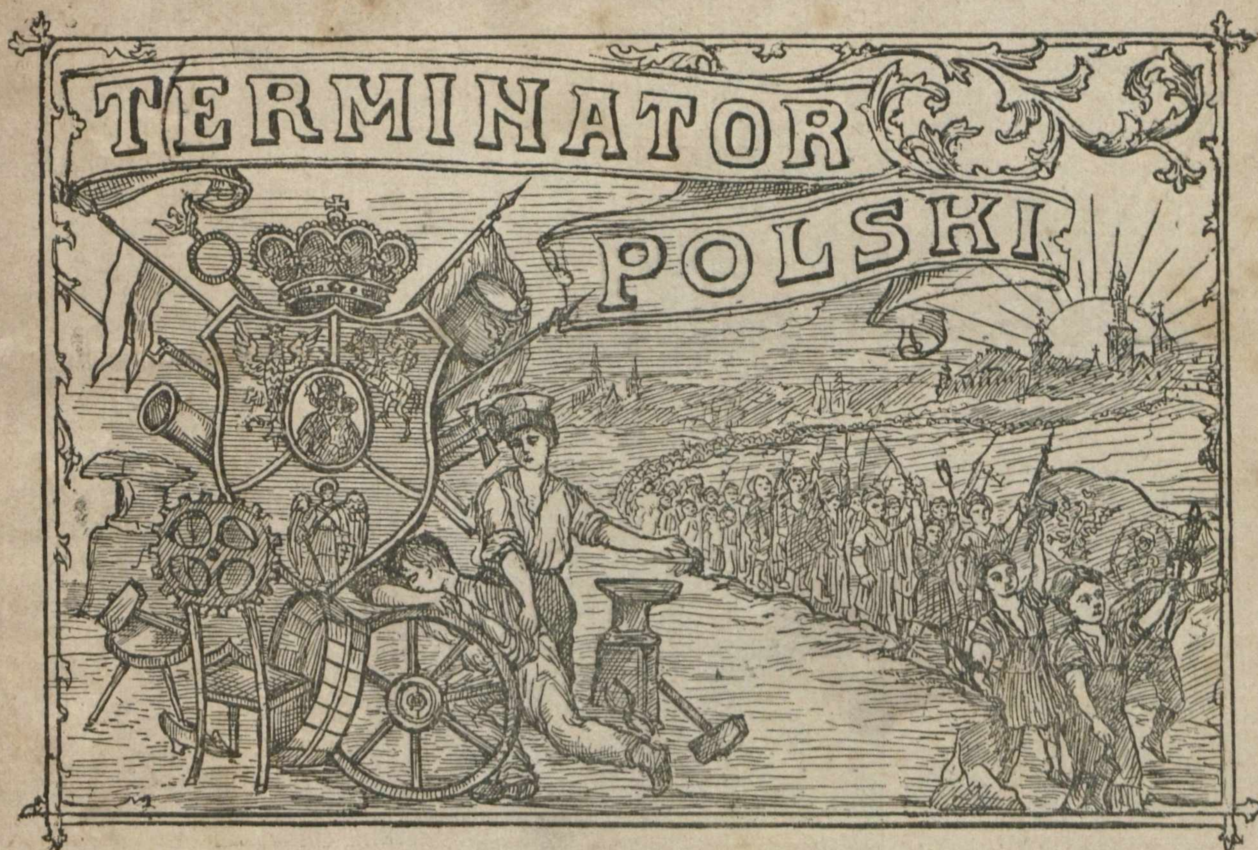
Rok II. Lwów, październik 1913. Nr. 10.



MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY RĘKODZIELNICZEJ.

Wychodzi na początku każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi 1 K, z przesyłką 1 K 30 h. **Pojedynczy numer 10 hal** Ogłoszenia za jeden wiersz drobnym pismem lub jego miejsce 16 groszy. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Redakcya: **Lwów, Tow. Św. St. Kostki Gródecka 2 b** Telefon 1756. Godz. urzędowe: w czwartki od 8-9 w. i niedziele 2-3 po poł. Administracya: **Waleryan Cieślak, Lwów, ulica Łyczakowska l. 165 II. piętro.**

Bohater wolności z r. 1863.

MARCIN MACIEJ BORELOWSKI.

Zadrżał z obawy odwieczny kolos rosyjski, skupił swe potężne hufce, wyposażył w armaty i wysłał wykształconych oficerów z armią na Podlasie przeciwko nieukowi, nieuczonemu, w bluzie robotniczej Borelowskiemu, bo jego, pod zasmarowaną bluzą, bijące serce, straszyło swą odwagą mocarza Rosyę. I ścigał Go namiętnie, bezustannie, aż dosięgnął Go pod Batorzem dnia 7. września i tam, idącemu z bagnetem na armaty i nieprzejrzane zastępy moskiewskie, przeciął kulą karabinową pasmo chwalebnego żywota.

Męczeńsko lecz chlubnie zakończył życie, oddane w całości pracy dla oswobodzenia ojczyzny. Przypatrzmy się bliżej temu niezwykłemu rzemieślnikowi.

Urodził się pod Krakowem, w miejscowości Półwsią Zwierzyniecką zwanej, dnia 29. października 1859 roku, jako syn ubogiego murarza. Gdy dorósł, oddali go rodzice do terminu do blacharza. W młodym terminatorze biło jednak serce gorącą miłością ojczyzny. — Kościół Marjacki, groby Wawelu i te święte prochy królów polskich, tam spoczywające, niosły myśli jego z warstatu na pola, stoczonych w poprzednim powstaniu bitew, a ciężka praca w terminie nie wystarczała mu, bo po godzinach zakopywał się młody chłopiec w ciemny kąt i tam czytał o bohaterach i o bitwach w Polsce. I kształcił się młody Borelowski na blacharza, a równocześnie kształcił ducha swego i serce nieprzepartą poił miłością ojczyzny. Czytał głównie historyę, a Le-

lewel, ten wielki historyk i członek Rządu Narodowego w r. 1831, był jego ulubionym autorem. Z jego dzieł czerpał otuchę, w jego dziełach szukał środków do oswobodzenia Ojczyzny — i znalazł je w rewolucyi. To też kiedy rok 46 zajaśniał na ziemiach polskich, kiedy młódź chwyciła za oręż i do walki się rwała, Borelowski, wówczas siedmnastoletni młodzieniec, zaciągnął się w szeregi, lecz został przez władze pruskie aresztowany.



Nieszczęśliwa rewolucya i więzienie zahartowały tylko Borelowskiego w chęci służenia Ojczyźnie. Nie uląkł się, nie dobiła w nim ducha niewola, owszem wyszedł z więzienia, rozprostował spracowane dłonie, rozszerzył je szeroko, jakby cały świat do siebie przygarnąć pragnął i poszedł między rzemieślników, jął się najpierw pracy blacharskiej, wędrując po Austryi, Czechach, Węgrzech i Niemczech, wreszcie osiadł w Rzeszowie, w końcu jednak rzucił i to przedsiębiorstwo, przeniósł się do Warszawy i jął się pracy studniarsko-murarskiej.

W owym czasie źle działo się duszom po polsku czującym — knut zaborczy świstał nad głowami i lada głupstwo pędził satrapa rosyjski setki osób do więzień. Nie wolno już było nawet myśleć po polsku — i niejeden ostygł w zapale, wyzbył się gorącej i głośnej miłości matki-ojczyzny zwiesił głowę i oddał się zwątpieniu. Nie wszyscy jednak byli takimi, były jeszcze piersi potężne, serca odważne, dusze hartowne, a do tych właśnie należał Borelowski. On czuwał, ale czuwał odważnie i ostrożnie. Zrozumiał, że nie wystarczy kochać Ojczyznę, choćby z sił wszystkich, że nie wystarczy marzyć o jej odbudowaniu, ale trzeba się raz do tego dzieła zabrać, trzeba chcieć i dążyć, zamiast myśleć i marzyć. I równocześnie z tem zrozumiał Borelowski, że nie wystarczy jednostka, lecz cała masa iść musi, bo bez niej spełznie na niczem praca i dążenie jednostki. Poszedł więc między rzemieślników, i gotował ich do rozprawy, a w młode dusze terminatorów, (których teraz był majstrem) wpajał tę gorącą miłość ojczyzny, hartował ich dusze dla służby realnemu ideałowi.

MARYAN KROPICIEL.

2)

Do szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

Przy blasku księżyca, ujrzał gajowy, któremu sen powiek nie chciał jakoś skleić, żonę siedzącą w drugim kącie izby na łóżku i uważnie przypatrującą się jemu. Zrozumiał teraz, że niepotrzebnie okazał swój smutek, że niepotrzebnie rozpoczął z żoną rozmowę o Franku, gdyż ciekawość kobieca obecnie rozbudzona bardziej tajemniczym jego zachowaniem się, nie pozwoli i małżonce jego usnąć spokojnie. Żal mu się więc zrobiło i chcąc uspokoić żonę i przecież coś do niej przemówić, a raczej ją okłamać, poruszył się, jakgdyby się obudził i jakby niczego dotychczas nie widział odezwał się:

— Czego nie spisz — czy może co ci dolega?

— Nic mi nie brakuje — nie mogę jednak zasnąć, sama nie wiem dlaczego. Myślę sobie o Franku, jak to on w świat pójdzie i wnet pociechy doczekamy się.

— Nie można jeszcze nic mówić, boć dziedzic nic dokładnie nie powiedział, potrącił tylko o to mimochodem, mówiąc o gościach, których zaprosił na polowanie.

— A kiedyż dowiesz się coś pewnego? bo bardzo chciałabym wiedzieć, co naszego Franka czeka w niedalekiej przyszłości.

— Może jutro będzie sposobność pomówienia o tem obszernie, gdyż mam właśnie z dziedzicem ułożyć cały plan polowania, jutro zatem o wszystkiem się dowiem, — i przerzucił się gajowy na drugi bok.

W ślad za nim poszła i żona, ciekawość bowiem została bodaj do pewnego stopnia zaspokojoną.

Późna noc rozległa się za oknami, gdy oboje pracą dnia i troską o Franka zmęczeni, zapadli w sen głęboki.

To co dzisiaj spełniają opieki nad terminatorami, zapoczątkował na własną rękę ich majster Borelowski. On pierwszy u nas, w Polsce porozbiorowej, garnął ich do siebie i uczył czem są i jakimi być powinni i tu tkwi niezmierna zasługa Borelowskiego, tak, że choćby niczego więcej nie dokonał, cześć mu się należy wielka, bo obudził rzemieślników i uczył ich być Polakami. Ale dla duszy tak gorącej, jak nasz bobater za mało to było; on szeregował obok siebie całe zastępy rzemieślników starszych i młodych i budował Polskę w sercach pod bluzami robotniczemi i rzeczywiście ją budował bo kiedy padło hasło roku 1863 on Borelowski sam wystawił 400 ludzi, gotowych na każde jego wezwanie.

Nadeszła chwila 63 r. Zaroiło się od powstańczych szeregów, a jednym z pierwszych był oddział Borelowskiego. Rząd Narodowy zamianował go pułkownikiem i wysłał na Podlasie. Poszedł lecz przybrał sobie nazwisko ukochanego historyka Lelewela i jako Lelewel pułkownikował oddziałowi. Opierał się dzielnie pod Łaszawą, Lutami, Krasnobrodem, wymknął się z nieszczęśliwej zasadzki pod Tarnogrodem. Zasadą jego było nie szafować zbytnio krwią ludzką, lecz ją oszczędzać, to też nie wydał otwartych bitew o wiele silniejszemu nieprzyjacielowi, nie prowadził oddziału w paszczę smokowi śmierci, lecz podjazdami niszczył większe oddziały moskiewskie, utrudniał im drogę i przerzedzał silne wojska nieprzyiacielskie. Dnia 24. kwietnia został Borelowski zaskoczony pod Józefowem i musiał wydać bitwę. Bitwa ta boleśnie zakończyła się dla naszego pułkownika — stracił bowiem wielu ze swego oddziału, a między innymi poległ i jego ukochany adjutant, poeta Mieczysław Romanowski. Po bitwie tej nie widzimy przez dwa miesiące Lelewela-Borelowskiego na polu zapasów, dopiero zjawia się znowu w czerwcu i znów prowadzi, ale teraz już niestety nie do zwycięstw. Nie udają mu się potyczki, zbyt wielka liczba Moskali tropi go, tak, że postanowił pułkownik połączyć się z zastępami Ćwieka Grekowicza. Dokonał tego i połączone oddziały otoczyły specyalnie wysłane korpusy pod Batorzem. Pozycya była niemożliwa dla powstańców, Moskale wzięli ich we dwa ognie, jedyny ratunek widział Borelowski w bagnetach.

Wydał więc rozkaz, sam twardą dłonią ujął karabin i stanął w pierwszym szeregu, postępując wprzód i torując drogę innym. Wtem padł strzał i trafił Borelowskiego, pozbawił jego życia, oddziału pułkownika — powstańców wygranej. Działo się to 7. września 1863.

W Borelowskim nie czcimy tylko bohatera w walce za wolność — czcimy w nim cały stan rzemieślniczy, który przez niego dał dowód swego gorącego poświęcenia się dla Ojczyzny — i dziś skoro poszczycić się możemy Kilińskim, Borelowskim, to znak, że ma Polska synów gotowych na wszystko i z życzeniem, aby Kilińskich i Borelowskich było jak najwięcej, możemy z dumą powiedzieć: Spracowane dłonie górą!

Świt rozprószył noce. Widnokręg nieba coraz bardziej się czerwienił na wschodzie, aż po niemych pasowaniach się wyrzucił ze zwego łona gorejącą kulę słoneczną, czerwoną, promienną, — na nieboskłon. Ledwie miało czas świeże słońce przejżeć się w kroplach rosy, zaledwie pierwsi mieszkańcy lasu świergotem napełnili bór cały — już ozwał się w chacie gajowego skrzyp ciężkich drżwi wchodowych i wysunął się z nich Franek.

Był to chłopak krępy. Czarna czupryna, nie uczesana jeszcze, spadała mu na czoło, a czarne oczy patrzyły ciekawie wokoło na budzący się dzień. Wyszedł on przed próg chaty przeciągnął się leniwie, owiany jednak chłodem poranka otrząsnął się raźno, gromko wymówił nazwę nieodstępnego towarzysza psa i pobiegł hyżo do strumyka, oszczekiwany przez zbudzonego i około niego skaczącego psa. Tam rozebrał się szybko i jednym susem z brzegu skoczył do wody, a za nim nieodstępny towarzysz.

Kąpiel nie długo trwała — w chwilę bowiem wracał Franek i jakby nowe życie wstąpiło w niego, podskakiwał ochoczo wraz ze swoim psem i krzyczał, aż ptactwo trwożnie ulatywało.

— Hop! hop!

Nikt mu jednak nie odpowiadał, tylko echo łamane dochodziło do jego uszu i wywoływało w nim nową chętkę do krzyków i nowe hop! hop! ginęło gdzieś w dali, między konarami.

Przyszedłszy do domu zajął się Franek przygotowaniem do wymarszu, wyniósł więc torbę — porobił naboje, oglądnął dubeltówkę, a wszystko to robił z taką chęcią i wprawą, jakgdyby zawód gajowego był jedynie dla niego ustanowiony.

Tak krzątał się przed chatą Franek, w chacie zaś spał snem sprawiedliwego gajowy. Widocznie zmęczenie dnia poprzedniego było większe, czy też zgryzota — czy wreszcie ta okoliczność, że długo w noc usnąć nie mógł — oddziałało tak na niego, że mimo iż słońce zaglądało już do chaty on spał,

Życie czeladników dawniejszych.

(Dokończenie).

Do zupełnego wykształcenia czeladnika zaliczała się przepisana wędrówka. Już przy wyzwolinach mówili starsi cechowi: „abyś w cudze kraje wędrował, złego towarzystwa się strzegł, ćwiczył się, a u partacza żadnego nie robił“. Ten zatym obowiązek musiał spełniać każdy czeladnik. Wędrówki takie pojawiają się już w wieku XV. i od tego czasu stają się coraz częstsze, tak, że w końcu wchodzą w zwyczaj — czeladnik, który nie wykazał się świadectwami swej wędrownej pracy nie mógł zostać mistrzem.

Można się było na nią udać dopiero po wyzwoleniu na czeladnika i trwała taka wędrówka rok, dwa, 3 lub 4. Wszędzie gdzie czeladnik robił mieli mu wystawić świadectwo:

„Powienien też mieć (towarzysz) list z owych miast, gdzie wędrując robieł, którzyby o nim pewne a nie wątpliwe świadectwo dali o jego wiernem a uczciwem zachowaniu przez te wszystkie czasy, kędyby wędrował i robieł“.

Wędrówkę taką ułatwiały same cechy. Towarzysz każdy, który przybył do nowego miasta musiał znaleść robotę, jeżeli zaś o nią trudno było, w takim razie dostawał na drogę i szedł dalej przytem był ugaszczany w gospodzie.

„Gdy towarzysz przywędruje, ma na słusznej a własnej gospodzie czeladnej stanąć, a stamtąd po godzinie ma sobie po wirthy posłać, a gdy go mistrzowie podług obyczaju rzemiosła przywitają, mają mu na żądanie jego o robotę iść porządnie“.

Jeżeli zaś roboty nie znalazł w takim razie:

„Z osobliwej łaski i przyjaźni panowie mistrzowie pozwalają ze skrzynki swej towarzyszowi, któryby tu przedtem nie bywał, a przywędrowawszy roboty nie dostał, groszy 12 dać“ .

Szukający pracy nie mógł wstąpić gdzie mu się podobało — był w tym względzie zachowywany ścisły porządek więc przedewszystkiem musieli być zaopatrzeni w czeladź: cechmistrze, wdowy, chorzy mistrzowie. Dalej te warsztaty gdzie były „puste stołki“ dopiero w końcu inni. Ominąć ten porządek można było tylko wówczas gdy mistrz sam zawezwał sobie jakiegoś towarzysza z innego miasta.

Czeladnik został przyjmowany na czas krótki tzw. próbny, dopiero po ukocńzeniu tegoż godzili się. Wymówić pracę można było na 14 dni — (chociaż mistrzowie mogli czeladnikowi wymówić i na trótszy czas). Były jednak przepisy, że w pewnych okresach nie może czeladnik wymawiać roboty, a głównie w czasie przed świętami: Wielkiej Nocy Bożego Narodzenia, lub też, gdy jakaś rozpoczęta robota wymagała tego, samego czeladnika, który ją rozpoczął. Jeżeli zaś czeladnik opuścił pracę bez wypowiedzenia słano za nim „trybówkę“ tj. list, w którym mistrz do-

---

nie wiedząc zupełnie o tym. Czynną już była jego żona, już przygotowywała posiłek ranny dla dzieci i męża, sporządziła zawiniątko dla męża i Franka, gdyż dziś jak i zwykle wyprawiali się na cały dzień, brali zatym ze sobą obiad do lasu.

Rozbudziły się dzieci, gwar zrobił się w izbie i ten dopiero obudził gajowego. Zerwał się prędko poszedł śladami Franka do strumyka i w niecałe pół godziny opuścił wraz z Frankiem chatę i zanurzył się w zieleni leśnej.

Długi czas szli obaj w milczeniu — gajowy był dzisiaj ponury, przeciągał się i ziewał, Franek zaś niezwykle zadowolony podskakiwał to gwiżdżąc wesoło, to z psem się bawiąc, to krzycząc swoje ulubione hop! hop! Drożyna leśna skończyła się, weszli na wązką ścieżynę, gdzie bór był gęsty, a krzewy utrudniały spokojne przejście. Tutaj jak na ko mendę, gajowy zdjął strzelbę pod pachę, — gotów do strzału — Franek umilkł, a pies wysunął się parę kroków przed idących i ostrożnie postępował węsząc wokoło. Nagle pies przystanął chwilę — oglądnął się poza siebie i spuściwszy łeb popędził zygzakiem przed siebie.

Jest coś — szepnął Franek.

Ślad dzika — odparł gajowy i podążył szybciej za psem.

Niedługo jednak to trwało, bo pies krążył wokoło na jednym miejscu i spuściwszy ogon, jakby się wstydził, że zatracił ślad, wrócił do gajowego. Szli jednak dalej w tym samym kierunku zachowując możliwie największe milczenie i ostrożność.

— Czy przypatrzymy się kartoflisku pod lasem? zapytał wreszcie Franek.

— Tak, dorzucił gajowy i szedł spiesznie przed siebie.

Doszli do zrębu, za którym rozciągał się ogromny łan kartofli. Smutny jednak widok przedstawiała ta praca ludzka — cały bowiem łan zryty był przez dziki, jakgdyby kto na nowo poorał za-

nosił, że ten a ten opuścił pracę bez wypowiedzenia i dlatego też nie mógł on nigdzie dostać pracy dopóki się nie usprawiedliwił, albo nie opłacił kary, lub też nie wrócił do ukończenia jakiejś zaczętej. roboty. „Trybówka" była większa i mała oczywiście za jedną trzeba było pokutować więcej za drugą mniej. Po takich przejściach — mógł towarzysz powrócić do swego miasta, względnie osiąść gdzie mu się podobało i jeżeli wykazał się dobremi świadectwami mógł czekać spokojnie na awans na mistrza.

Antek Sroka u nowego majstra.

Nareszcie czuję się we Lwowie szczęśliwszy. Po kilku miesiącach mego terminu, uwolniłem się wreszcie z pod ciężkiej ręki swojej „starej". Wspominałem o tem już tamtego miesiąca, że ze swoją majstrową wytrzymać nie mogę. Z dnia na dzień zwlekałem, czekając stosownej chwili, kiedy będę mógł uciec tak, że majstrowa, ani majster, a nawet Wojtek wiedzieć nie będą, gdziem się podział.

A trzeba wam wiedzieć, żem już dawno chodził tutaj — gdzie obecnie jestem — i miejsce sobie zapewniłem. Potrzeba więc było, aby mię raz jeszcze pobiła moja majstrowa, to jużbym się długo nie męczył. Ale sposobności jakoś nie było. Moja „stara", jakby coś przeczuwała, obchodziła się ze mną przez cały tydzień bardzo grzecznie. Nareszcie doczekałem się.

Było to w niedzielę rano. Po śniadaniu poszedł majster na plac Strzelecki kupować skórę, majstrowa zaś poszła na godzinki do kościoła, a nam tj. mnie i Wojtkowi, kazała strugać kartofle na pierogi, które miały być na obiad. Posłuszny woli majstrowej, strugałem kartofle. — Wojtek tymczasem przeszukiwał wszystkie szafki i szufladki majstrowej, za cukrem, jabłkami itd. Wreszcie przychodzi Wojtek do mnie i powiada: Wiesz Antek, że ja bardzo ciekaw jestem, co to może być w tych słoikach, które stoją rzędem na tej wysokiej szafie; coś takiego czerwonego. I ja nie wiem co to takiego — odpowiadam nieco zaciekawiony. — Słuchaj — powiada Wojtek — zaraz się przekonamy. Podsadź mnie do góry, a ja zdejmę jedną taką szklankę. Ja jednak przeczuwając coś złego powiadam: Ej Wojtek, radzę ci, daj sobie z tym spokój, bo może to jaka trucizna. Głupiś — powiada Wojtek — my tego jeść nie będziemy; ot popatrzymy, powąchamy i postawimy na swojem miejscu. To mówiąc przystawił krzesło do szafy, stanął na niem, i zdjął ową czerwoną szklankę. Zlazłszy na dół, ściągnął papier ze słoika i począł wąchać. Powąchaj ino Antek, jaki to ma przyjemny zapach, cóżby to było takiego? Jak tylko powąchałem zaraz wpadłem na dobry pomysł i mówię do Wojtka, który tam zaglądał jak sroka w kość.

— Już wiem co to jest. To jest miód miastowy — bo wiejski to całkiem inny. — Pamiętasz jaki to jest u mego ojca, boś jadł nieraz z chlebem.

---

sadzone grzędy. Stali chwilę patrząc na to zniszczenie, wreszcie gajowy odezwał się:

— Ano jeszcze miesiąc będziecie tak ryć a potem śmierć dla was.

— Dlaczego miesiąc? zapytał skwapliwie Franek.

— Będziemy mieć wielkie polowanie z nagonką to wytłuczemy szkodników.

— A ja będę także strzelał?

— Nie, pójdziesz ze mną prowadzić nagonkę.

— Kiedy to tak przyjemnie czekać na linji, aż się zwierz ukaże, a potem paf! puść mię ojcze na linję — mnie się przecież nic nie stanie, bo już trafię pod łopatkę i ubiję na śmierć.

— W tym roku cię jeszcze nie puszczę chyba na drugi.

— Ale z pewnością na drugi rok — dorzucił pospiesznie Franek.

Gajowy jednak przypomniał sobie, że kto wie czy będzie jeszcze na drugi rok Franka miał przy sobie i rzekł — jeżeli będziesz tutaj, to staniesz w przyszłym roku na linji.

— Dlaczegoż to jeżeli będę tutaj — a gdzieżbym miał być.

— Może pójdziesz stąd do terminu, musisz się przecież czegoś nauczyć.

— Do terminu — a do kogo?

— Tego jeszcze nie wiem, ale do jakiegoś godziwego rzemiosła pójdziesz, a w każdym razie przy mnie siedziećbyś nie mógł, tylko będziesz praktykował w mieście.

— W mieście?

— Tak i to w jakimś większym, abyś się lepiej nauczył.

Wyraz miasto podziałał na Franka, twarz mu się rozpromieniła, a oko rozwarło szeroko, bo mimo, że lubiał uganiać po lasach, to przecież miasto miało dla niego dziwny jakiś urok i począł nalegać na ojca, aby mu opowiedział coś jakto wygląda miasto i gdzie jest przyjemniej, potem roz-

Aha — powiada Wojtek — to takie buty z cholewami, to to miód miastowy, ale przyznam ci się, że jeszcze nigdy nie jadłem takiego miastowego miodu, więc muszę spróbować który lepszy. To mówiąc, nabrał na łyżkę i począł jeść, a dogadywał... Ho, ho, ta ten miastowy miód o wiele słodszy od wiejskiego, masz spróbuj. W chwili, gdy miałem już włożyć do gęby, zadrżałem na całem ciele. Majstrowa!, — wyrwało się nam obu z ust. — Trzymaj szklankę — krzyknął Wojtek. — Ja nie wiedząc co się ze mną dzieje, chwyciłem za słoik i trzymałem z całej siły.

W takiej pozycyi zastała mnie moja majstrowa...

Co się dalej działo to tego opisywać nie będę, ze względu na okoliczność dodać tylko muszę, że była sprawa pocięglowa.

Tego samego dnia wieczorem, spakowałem swoje manatki, a nazajutrz już byłem u nowego majstra.

Uszedłem tak, że nie wiedzieli gdziem się podział.

Następnym razem napiszę wam jak mi się powodzi w nowym warstacie.

Wasz przywiązany
Antek Sroka
terminator szewskiego rzemiosła.



Z dziedziny wynalazków.

Myślący wóz.

Pomimo tego, że na każdym kroku otaczają nas najrozmaitszego rodzaju maszyny, nie jest bardzo wielka część ludzi z niemi obeznana.

Aparaty szczególnie zaś ogromne lubimy jeszcze i dzisiaj uważać jako coś niezwykłego, niebezpiecznego, które najlepiej jest unikać z daleka. Wielu ludzi ucieka z przerażeniem, gdy im się każe puścić jakąś maszynę w ruch; boją się tej siły, która tkwi w jej wnętrzu, bo nie wiedzą, że siła ta tylko w pewnym kierunku, w ściśle określonych ramach może przynieść człowiekowi pożytek. I niema prawie człowieka (z wyjątkiem tych, którzy maszynom się oddają i niemi kierują), któryby na własną odpowiedzialność puścił w ruch którąś z maszyn — do wyjątków zaś należy taki, który nie boi się niebezpieczeństw i przez pociśnięcie guzika, odkręcenie korby, czy czegoś podobnego, porusza ciężkie koliska.

A przecież są maszyny, są przyrządy, które musi sam człowiek poruszyć, jeżeli chce ich użyć.

W każdym większym zakładzie, ba nawet porządniejszym domu znajduje się winda. Windy te nie mają przewodników, kto chce dostać się zapomocą jej na któreś piętro musi sam wprawić ją w ruch. Prawda, że ten, który pociska guzik windy, nie widzi całego szeregu kół, pasów, które z tą chwilą zaczynają

---

wodził się Franek nad tym, że przykro mu będzie żyć zdala od domu i rodziców, żal mu będzie za lasem i polowaniem i skończył wreszcie na tym, że skoro w przyszłym roku może już nie będzie mógł polować na dziki, musi więc już teraz stanąć podczas wielkiego polowania na linji.

Przyobiecał mu wreszcie gajowy, że spełni to życzenie i począł badać syna czy mu się podoba jakie rzemiosło i jak on sobie wyobraża życie zdala od rodziców, czy będzie często pisywał, czy nie zapomni, a nadewszystko ciekawiło gajowego czy Franek będzie tęsknił za kolegami i wśród nich czy nie popsuje się i zapomni o tym skąd pochodzi i kim jest.

Odpowiedzi Franka były widocznie zadowalniające — poznał gajowy, że syn jego jest takiej samej myśli co on więc rozradował się w duszy i pomyślał: — wobec tego mogę spokojnie puścić cię nawet za morze tobie się nic nie stanie, nikt cię nie popsuje.

Tego dnia wrócili nasi znajomi wcześniej do domu — dzień ten był jakiś szęśliwszy niż poprzedni, bo i gajowy nie miał zafrasowanej miny i Franek podskakiwał ochoczo i huknął przed domem samym hop! hop! z takim życiem i siłą, że żona gajowego wybiegła z chaty naprzeciw idących, zaciekawiona i tak wczesnym powrotem swoich i takim humorem, który rzadko kiedy nawiedzał jej ukochanych po całodziennych trudach.

— Już wracacie? zapytała nadciągających.

— Mamo, ubiłem sam dwa zające i stanę na linji podczas polowania, nie będę już wrzasków wyprawiał w nagonce — wydeklamował pospiesznie Franek.

— Ty je sam ubiłeś?

— Tak jest, ja za trzema strzałami, jeden chybił i ledwie miałem czas poprawić się, bo zając nie chciał czekać. (C. d. n.).



wirować, nie widzi tego, bo przyrządy te są ukryte gdzieś w głębokiej piwnicy.

Przecież jednak zważyć musimy, że pociśnięcie palcem nawet małego dziecka, ma taki skutek, jakby kilka koni ciągnęło tę windę na piętra i mimowoli nasuwa się pytanie, czy ten aparat, oddany zupełnie woli człowieka nie zagraża jego życiu.

Niech się jednak uspokoją ci, którzy mają jakiekolwiek obawy. Przyrząd bowiem z guzikami do pociskania i cała wogóle winda jest pierwowzorem „myślącej“ maszyny, aparatu, który jest o wiele roztropniejszy niż człowiek, a wszelkim bezmyślnościom człowieka przeciwstawia się i działa przeciw, pewnością swych stalowych członków i miedzianych nerwów. Winda ta jest przygotowaną do obrony z każdą bezmyślnością, jakąby człowiek chciał przy używaniu jej popełnić. Nawet nałogowy samobójca nie może osiągnąć swego celu w windzie, chybaby zaopatrzył się w mocne obcęgi i poprzecinał żelazne jej sztaby.

Weźmy pod uwagę windę w domu n. p. trzypiętrowym. Winda taka posiada w swoim wnętrzu 5 guzików do przyciskania, które są oznaczone: parter, I p. II p. III p. i stój. Oprócz tego znajduje się na każdym piętrze przy drzwiach prowadzących do klatki schodowej guzik, przez pociśnięcie którego sprowadza się windę do samych drzwi, przy których guzik pocisnęliśmy. Tych 9 guzików to cały zasób przyborów, przystępnych dla zwykłej publiczności.

Jeżeli jakaś osoba chce udać się z parteru na III. przypuśćmy piętro, a winda znajduje się w parterze — to otwiera ona drzwi od klatki windowej, drugie drzwi od windy, wsiada do niej, zamyka oboje drzwi za sobą, pociska guzik oznaczony „III. p.“ i znajduje się wkrótce na upragnionym piętrze.

Przy tak prostej nawet jeździe może jednak każdy jadący być narażony na całą masę niebezpieczeństw. Może n. p. ktoś zostawić drzwi od windy otwarte i przypuśćmy, że ten który windą jedzie jest krótkowzroczny, to może się zdażyć, że podczas jazdy wsadzi on nogę pomiędzy mur, a jadącą windę, skąd nieszczęście jest gotowe; albo też może zabrać ze sobą zbyt ciężki pakunek, którego ciężaru nie może wytrzymać winda. W tym drugim wypadku zachodzi także obawa niebezpieczeństwa życia.

„Myśląca“ winda zapobiega temu i udaremnia wszelkie tego rodzaju zapomnienia. Jeżeli bowiem drzwi od klatki windowej lub też samej windy są otwarte, winda nie ruszy się z miejsca, choćby kto 100 razy przyciskał któryś guzik — znajduje się w windzie za duży ciężar, to nie może ona również wznieść się w górę.

Widzimy zatym, że przez zapomnienie nie może absolutnie sobie zaszkodzić człowiek jadący windą. Mogą jednak zajść takie wypadki, że ktoś inny może przy obchodzeniu się z windą spowodować nieszczęście siedzącemu właśnie w środku.

Przypuśćmy np. że ktoś jedzie z parteru na III. p. i w tej właśnie chwili, chce inny gość jechać z drugiego piętra; ponieważ windy niema na drugim piętrze, przyciska więc guzik i winda jedzie po niego. Pan A pocisnął właśnie guzik na II. p. i czeka, nie wiedział jednak, że jedną sekundę przed nim wyjechał pan B z parteru i winda jest w ruchu. Pan A nie widzi siedzącego wewnątrz gościa i sądząc, że winda przybywa na skutek jego pociśnięcia, otwiera nagle drzwi — winda tymczasem nie zatrzyma się, bo jedzie na III. p. a p. A może bardzo łatwo wpaść do klatki windowej. Albo też w chwili gdy winda znajduje się pomiędzy II. a III. piętrem, chce ktoś z parteru jechać — pociska guzik i winda powinnaby zjechać na dół, zamiast dotrzeć do III. p.; albo też ktoś w parterze wsiada do windy, prawą nogę ma już w windzie, lewą zaś stoi jeszcze na podłodze i w tej chwili pociska ktoś guzik na jednym z górnych piątr. W takim razie, gdyby winda rzeczywiście ruszyła, czeka tego, który wsiadał na dole do niej, niechybna śmierć. (Dok. nast.).

Ofiarność.

Czytamy w dziennikach następ. wzmiankę:

Podczas narad kongresu syonistycznego zawiadomił wśród oklasków prezydent galicyjskiego centralnego komitetu, że zainicyowana przez Dr. Zippera składka 100.000 fr. na hebrajskie gimnazyum w Jerozolimie, została właśnie ukończoną.

Syjoniści (a przynajmniej jedna ich część) dąży do odzyskania Palestyny, a ponieważ trudno sobie jest wyobrazić, ażeby Żydzi poszli po Palestynę z mieczem w ręku i karabinem na ramieniu, więc składają oni pieniądze i chcą kupić od Turków ten ich kraj obiecany, a następnie stracony. Czy i kiedy to się sta-

nie, wie prawdopodobnie tylko Jehowa, a może i ci, którzy zbierają zajadle ten fundusz. Tymczasem Żydzi chcą czego innego. Chcą mieć w Jerozolimie gimnazyum hebrajskie. Stworzenie jakiejkolwiek szkoły, to rzecz bardzo szlachetna i nie można Żydom tego brać za złe, że złożyli już 100.000 fr. na ten cel. Ale przypatrzmy się odwrotnej stronie medallu. Skąd wzięły się te 100.000 fr. Oczywiście z Galicyi — a jeżeli nie całkiem, to w każdym razie w swej większej części — czyli inaczej mówiąc, Żydzi dorobiwszy się na naszych śmieciach, wywożą pieniądze nawet do Palestyny w chwili, gdy w kraju bieda ogólna panuje, gdy powodzie zniszczyły zasiewy i kraj cały stoi przed widmem strasznej drożyzny, jeżeli nie głodu. Żyd, który się jeszcze nie dorobił nie da pieniądzy od siebie, skoro zaś stać ich na 100.000 fr. to chyba znak, że bardzo dobrze im się tutaj powodzić musi.

Podziwiać należy ich ogromną ofiarność, lecz podziwiać z drugiej strony należy lekkomyślność naszą. Nasze Tow. Szkoły Ludowej walczy z niedoborem, ci którzy za wolność młodość poświęcili i ostali kalekami, a teraz skupiają się w Tow. weteranów 63 r. mrą głodem, dar grunwaldzki nie może do sięgnąc do tej kwoty, tóra jest mu niezmiernie potrzebną i cała masa towarzystw i instytucyi dobroczynnych zmaga się z ciężkim losem i nie może spełnić godnie swego zadania, a my tymczasem zasilamy kieszenie żydów. Zarabia trafikant, rzemieślnik i kupiec żydowski, a równocześnie traci, bo poparcia nie ma Polak — i za krwawicę naszą, za ciężko zapracowany grosz chłopa czy rzemieślnika polskiego stanie w Jerozolimie gimnazyum hebrajskie, które będzie świecić pustkami, a syna naszego krawca czy szewca nie przyjmą do gimnazyum, z powodu braku miejsca, bo szkół u nas zamało. Nie mamy pieniędzy, aby dobrze wyżywić rodzinę, aby zbudować szkołę, ale zato zapełnione są żydowskie szynki katolickimi rękodzielnikami. I płynie grosz w obce ręce i stają zań gimnazya w Palestynie, a w kraju głód, nędza i ciemnota.

Rozmaitości.

Morderstwo śp. prof. Butkowskiego w seminaryum naucz. męskiem we Lwowie. W połowie zeszłego miesiąca odbyła się w trybunale przy ul. Batorego rozprawa przeciw uczniowi Dżegale, uczniowi tegoż seminaryum, za zamordowanie profesora. Oskarżouy został skazany na 14 lat ciężkiego więzienia, wszyscy bowiem świadkowie zeznali pod przysięgą, że śp. Butkowski bynajmniej nie »sekował« nikogo, a tem mniej Dżegałę, lecz równą miarę przykładał do wszystkich uczniów, tak Polaków jak i Rusinów.

Rozprawa rzuciła jednak światło na ukrytą rękę, działającą poza plecami młodzieży szkolnej. Oto przewodniczący odczytał podczas rozprawy list, wysłany przez zagadkowy» komitet«, do uczniów Rusinów seminarynm nauczycielskiego, gdzie między innemi znajdowało się takie zdanie: »padać będzie jeden za drugim winien czy nie winien«, a to powinno być dla nas chyba dostateczną przestrogą, aby nie spać, lecz czuwać i śledzić wszystkie anarchistyczne zakusy, aby zbrodnia nie rozpostarła się zbyt szeroko.

Kurs instrukcyjny dla działaczy w Organizacyi Pomocy przemysłowej, odbędzie się w dniach od 11 do 22 października w Lidze pomocy przemysłowej we Lwowie. Program kursu obejmuje szereg wykładów z zakresu ogólnych zasad pracy ekonomicznej. Uzupełnieniem programu naukowego będą wycieczki do najbardziej zajmujących zakładów przemysłowych we Lwowie. Do wygłoszenia wykładów zaprosiła Liga pomocy przemysłowej wybitne osobistości z pośród ekonomistów i pracowników na polu gospodarczem, Pierwszeństwo uczestnictwa w kursie przysługuje pracownikom i działaczom Towarzystw i Komitetów Pomocy przemysłowej oddającym się tej pracy od pewnego czasu, a zwłaszcza sekretarzom i sekretarkom, na podstawie uchwał miejscowych Zarządów. Zgłoszenia wnosić należy do Biura Ligi pomocy przemysłowej najpóźniej do 30 bm.

Informacya dla robotników sezonowych, udających się do Danii. Z dniem 1 stycznia 1913 poczęła w Daniji obowiązywać uchwalona przez sejm tamtejszy w dniu 1 kwietnia 1912 nowa ustawa o zatrudnianiu robotników zagranicznych, którą została zmieniona ustawa dotychczas tam obowiązująca z dnia 21 sierpnia 1908. Nowe przepisy mają na celu przedewszystkiem ujednostajnienie wykonywania nadzoru nad robotnikami, który odtąd mają wykonywać w całem państwie duńskiem władze policyjne. W § 2 nowej ustawy wydano nadto zarządzenie, które przewiduje zgłoszenie się robotnika u właściwego urzędnika policyjnego. (Polizeimeister). Zapiski, które przy tej sposobności mają być sporządzone mają zawierać oprócz nazwiska poszukującego pracy także dokładny jego rysopis. § 5 zobowiązuje pracodawcę, aby w dniach wypłaty sam osobiście o to się starał, ażeby kwotę zarobku wpisywano do książki obrachunkowej robotnika, a to także i w tym wypadku, jeśliby pracodawca posługiwał się osobnym przedsiębiorcą do wykonywania robót zamówionych. § 8 postanawia, że kosztów pogrzebu nie będą — jak dotychczas — pokrywały państwo i gmina, lecz zakład ubezpieczenia chorych robotników zagranicznych. Mienie każdego robotnika winien pracodawca ubezpieczyć na 100 koron. § 10 zawiera postanowienie o mieszkaniach robotniczych

i przepisuje zaopatrzenie tych pomieszkań w piece. Nadto mieszkania te winny czynić zadość zwykłym wymogom pomieszkań wiejskich.

Cesarz Wilhelm II. w Poznaniu. Przyjechał-wygłosił mowę, wniósł kilka toastów, rzucił służalcom parę orderów i odjechał z niesmakiem do stolicy, gdzie mu więcej swojsko, bo sami swoi go otaczają.

W Poznaniu przyjmowali go, oczywiście w pierwszych szeregach czuli Niemcy, pościągani ze wszystkich stron, aby było jak najwięcej „wiernych“ — ale znaleźli się i nie ściągani, znaleźli się i tacy Polacy, którzy poszli witać cesarza, siadali razem z nim za stołem, gdyż tak wypadało. Nie spała jednak zdrowa dusza narodu, i ona poszła pod dom uroczystości, lecz nie na powitanie, ona poszła przypomnieć tym, którzy za wywłaszczenie zdrowie pili cesarskie, iż nie godzi się żyć z wrogiem tak blizko i tak serdecznie. Cała ludność polska rzuciła się na przejeżdżające dorożki i automobile z obywatelami polskimi i chciała uniemożliwić obecność podczas uczty. Nie udało się im to, bo policja pomogła dostać się im tam, dokąd iść nie powinni byli.

Fakt powyższy daje nam dużo do myślenia. Najpierw smutne nasuwają się myśli, że są jeszcze tacy Polacy, którzy nie chcą iść razem z narodem, ale czepiają się klamki pańskiej; choćby takiej, która się im zawsze przed nosem zamyka — ale te smutne wrarzenia zasłonić możemy radosnym odruchem całego ludu polskiego w ks. poznańskiem. Ten spokojny, pracowity kmiotek czy mieszczanin, który mimo, że czuł po polsku jednak siedział cicho, aby nie łaskotać ciężkiej ręki najezdnika, dziś gdy się przekonał, iż jego ciche zachowywanie się szkodę tylko przynosi narodowi, że mimo to rząd pruski odważa się wywłaszczac obywateli Polaków z ich prastarej ziemi — ten lud niechce więcej siedzieć spokojnie, lecz się burzy. Hardo podnosi głowę, wyciąga spracowaną dłoń w kierunku królewskiej korony i grozi. Skutek zaś tego ciekawy — kiedy bowiem jeszcze przed 25 laty Bismark byłby na takie grożenie odpowiedział kto wie czy nie kulami, to dziś sam cesarz powraca szybko do Berlina, bo tam nie śmiał mówić o tem co czuł, nie śmiał już powiedziec, że tam Niemcy tylko nikt więcej mają coś do gadania, ale juz mówił o zgodzie obu narodowości, zamieszkujących kraj. Dzielna postawa polskiego społeczeństwa miesza i wyprowadza z równowagi nawet cesarza Niemiec, ufającego jedynie w siłę bagnetu i pałazza policyjnego.

Całe społeczeństwo polskie czuje dzisiaj wdzięczność dla tych, którzy z narażeniem swojego życia mieli odwagę przypomnieć cesarzowi, że jest granica, poza którą jego władza nie sięga — że są serca, którym droższe jest to co polskie choć biedne aniżeli order i zaszczyt zasiadania przy wspólnym stole z despotą.

Wystawa rolnicza w Częstochowie. W zeszłym miesiącu otwarto w Częstochowie wystawę rolniczą, zorganizowaną przez tamtejsze Tow. rolnicze okręgowe, przy współudziale Centr. Tow. rolniczego. Poświęcenia dokonał X. kanonik Massalski, członek Rady częstochowskiego Tow. rolniczego, który następnie przemówił o znaczeniu wyztawy w tej okolicy, znanej ze swej ubogiej gleby. Naczelnik powiatu Steculo podał nożyczki szambelanowej hr. Łąckfej, która przecięła wstęgę. Na placu wystawy zebrało się kilkaset osób z ziemiaństwa, włościan, przedstawicieli miast, fabryk i instytucyi finansowych. Wystawa mieści się na placu dawnej wystawy i obejmuje działy: rolniczy, hodowlany, ogrodniczo-pszczelarski, przemysłu rolnego, maszyn i narzędzi rolniczych, oraz przemysłu drobnego.

Mały bohater. Nowy Jork ma senzacyę, która zajęła tak szerokie warstwy robotnicze jak i »notablów« miejskich. Bohaterem dnia jest 13 letni Józef Berry, biedny chłopiec, o którym do niedawna nikt nie wiedział. Dzienniki podają teraz jego fotografie, pokazują go filmy, a miasto ma go obdarzyć medalem zasługi za to, że ujął sie za matką i bronił ją. Józef Berry narodził się w ubogiem mieszkaniu robotniczem. Ojca wcześnie stracił i wraz z matką musiał pracować na życie. Kiedy jednego dnia wrócił do domu głodny i zmęczony, zastał matkę bijącą się z domokrążcą Józefem Murphym, który się z nią pokłócił. „Daj spokój matce!“ — woła przestraszony chłopiec, ale Murphy bił ją tem brutalniej. Chłopiec skoczył i starał się tego silnego mężczyznę oderwać od matki, lecz Murphy uderzył go pięścią w twarz, chwycił starą kobietę za włosy i zaczął ją włóczyć po pokoju. Chłopiec, drżąc z oburzenia wybiegł do drugiego pokoju i chwycił dobrze nabity rewolwer, jedyne dziedzictwo po swym ojcu. Kiedy wrócił, zobaczył, że matka ma zakrwawioną twarz. „Puść matkę albo strzelę! — krzyknął na brutala, który zaklął tylko w odpowiedzi. Wówczas chłopiec strzelił do niego cztery razy. Dwa strzały chybiły, jeden zranił Murphy'ego w rękę, czwarty trafił w serce. Chłopca aresztowano i zaprowadzono na policję. Urzędnik spytał go — Dlaczego zastrzeliłeś tego człowieka? — na co chłopak spokojnie odrzekł: — Ponieważ bił moją matkę i wymyślał jej, Moja matka jest sama na świecie a ja powinien bronić ją, jak byłby ją bronił mój ojciec. Sędzia śledczy uściskał chłopca i wypuścił na wolność. Sprawa wywarła wielkie wrażenie a panie z najlepszego towarzystwa odwiedzają Berrego, obdarowując cukierkami i pieniądzmi. Kilku milionerów zaofiarowało swą pomoc matce dzielnego chłopca, który będzie oddany do szkół.

Gazety niemieckie. Dziwimy się nieraz skąd gazety niemieckie tchną taką nienawiścią dla Polaków chociaż Niemcy (z wyjątkiem Prusaków) nie są znowu tak złymi jakby się wydawało. Ale zagadka ta nie jest trudna do rozwiązania. Robią to gazety i wmawiają w Niemców, że Polacy i wszyscy słowianie to banda, którą trzeba zniszczyć koniecznie. Co to za ludzie, którzy odważą się coś podobnego pisać? Zagadka ta staje nam się jasna, gdy przypatrzymy się kto te gazety pisze. Oto wszystkie prawie gazety w Berlinie są pisane i wydawane przez Żydów i ci mają czelność wypisywać najgorsze

potwarze na Polaków, dlatego pewnie, że z Polski nie dajemy zrobić Palestyny. Warto to sobie zapamiętać. Żydzi rozbici po całym świecie — znaleźli gościnny przytułek w naszym kraju, od naszych królów dostawali przewileje i dziś za te dobrodziejstwa tak się nam odpłacają — ładna to wdzięczność, niewiemy jednak czy Żydzi naprawdę myślą jeszcze długo tak igrać z nami i czy chcą koniecznie, abyśmy się bronili trochę inaczej aniżeli dotychczas.

Szczyt biurokratyzmu. W pewnej miejscowości niemieckiej w gmachu pocztowym, na okienku, przy którem kupuje się marki, jest napis: „Kapeluszów przy okienku, zdejmować nie należy.“ Nie widziałem tego i stanąłem w okienku z kapeluszem w ręce. — Proszę o markę za dziesięć fenigów — poprosiłem — Niech pan włoży kapelusz — rzekł urzędnik. — Dziękuję — odpowiedziałem. — Proszę włożyć kapelusz! — powtórzył dość ostro urzędnik. — A to dla czego? — oburzyłem się zdziwiony. — Nie umiesz pan czytać, czy co — krzyknął rozłoszczony urzędnik i pokazał mi napis. — Przeczytałem. — Bardzo ładnie — odpowiedziałem — a ja włożę kapelusz, kiedy mi się spodoba. — O to zobaczymy! — rozsrożył się urzędnik. „Należy“, to nie znaczy „uprasza się“‘ ale „ musi się“, rozumiesz pan? — Hm! — chrząknąłem i nie włożyłem kapelusza. Zawezwano kierownika biura, dobrodusznego człeczynę, opowiedziano mu zajście, pokazano napis. Przeczytał go, wysłuchał sprawozdania, pokiwał głową, wreszcie wziął mnie na stronę. — Panie. ten urzędnik to pedant, ma też poniekąd słusznosc panie, zrób mu pan tę przyjemność, włóż pan kapelusz na głowę. — Teraz dopiero ani mi się śni — odpowiedziałem z charakterem. — To on panu nie sprzeda marki. — Dobrze, to ja pójdę po tę markę do dyrektora poczty. — Nie, nie rób pan tego. Daj mi pan dziesięć fenigów, ja panu u niego markę kupię, byle się już tylko raz ta głupia historya skończyła...

Skauci polscy.

Zaledwie kilka lat upłynęło odkąd do Polski dostał się z Anglii nowy system tj. sposób wychowania młodzieży. Nazwano go skautingem tj. harcerstwem.

W Polsce przyjęto harcerstwo z uwielbieniem, gdyż żadne wychowanie nie jest tak zastosowane do naszych potrzeb narodowych jak skauting.

Przypatrzmy mu się bliżej. Jest to organizacya oparta na dyscyplinie wojskowej, a równocześnie wykuwa w młodych sercach przywiązanie do wzniosłych i dobrych czynów

Nie zamiar, nie słowa, lecz czyn świadczy o wartości moralnej człowieka. Każdy Skaut jest obowiązany do spełnienia przynajmniej jednego dobrego uczynku codziennie. Oto właśnie wyższość nad samolubami, którzy głoszą, że „każdy sobie rzepkę skrobie“.

Do zastępów skautowych przyjmują pod następującymi warunkami.

Wstępujący musi mieć ukończony 13 rok życia, musi na wstępie przyrzec bezwzględną wstrzemięźliwość od palenia i picia, jakoteż przyrzeka posłuszeństwo i zupełne poddanie się woli oficera skautowego.

Następnie poznaje prawo skautowe i wyucza się wiązać wszystkie węzły skautowe a okazawszy przy egzaminie swój spryt w wiązaniu węzłów i zrozumienie prawa zostaje ochotnikiem.

Od tej chwili jest on bratem skautem, uważając wszystkich w zastępie za równych sobie, czy to syn hrabiego czy rzemieślnika lub zarobnika spotyka w nim swego serdecznego kolegę, a wszyscy przemawiają do siebie braterskiem słowem „Ty“.

Skaut pozostaje w swej drużynie do 18-go roku życia i w tym czasie może dojść do stopnia wywiadowcy, harcerza a nawet, harcmistrza tj. oficera skautowego.

Ale nie tak łatwo zdobywać owe stopnie. Trzeba okazać wielką wiedzę, dużo sprytu skautowego i nie wolno nic takiego zrobić, coby skauta obciążało na jego czci. Honor skauta nie może być pokalany.

Dawni rycezze polscy mieli swoje prawa, kodeksy honorowe, które obowiązywały tak jak i królewskie, a były to zasady wzniosłe, któremi oni żyli całe życie i jeszcze swoim potomkom je przekazywali.

Tę spuściznę po naszych przodkach podjęli skauci i tak jak zasady rycerskie się odrodziły, odrodzi się także i czyn, którego sprawcami będzie młodzież zbierająca się tak gromadnie pod sztandarem skautowym.

Czuwaj! jest hasłem skauta, czuwać tj. być gotowym powinien być każdy człowiek, aby niespodziewanie nam nie powiedziano „wszak już czas“.

Prawo skautowe opiewa następująco:

1. Na honorze skauta można polegać jak na Zawiszy. (Był to nieustraszony rycerz króla Jagiełły. *Przyp. Red.*) Wielki nasz rycerz nigdy nie splamił ust swoich kłamstwem, dlatego też skauci podają go sobie za wzór prawdomówności. Człowiek uczciwy nigdy nie łamie danego słowa, a kłamstwem się brzydzi; lepiej umrzeć uczciwym jak żyć z hańbą.

2. Skaut jest wierny Ojczyźnie, zna jej przeszłość, pracuje dla przyszłości. Wiemy, że jesteśmy niewolnikami trzech zaborów. Straciliśmy państwo, lecz został naród, który potrafi zdobyć swoje prawa i swoją ziemię, jeśli tylko każdy obywatel dla dobra społecznego nie oszczędzi ofiar, własnych sił i pieniędzy.
3. Skaut jest pożytecznym i pomaga innym, to znaczy, że nie czyni nic złego, coby urażało lub krzywdziło kogoś. Nietylko skaut nikodo nie krzywdzi, ale ponadto jest bezinteresownym, musi wyświadczać ludziom dobre uczynki.
4. Skaut jest przyjacielem wszystkich, a bratem każdego skauta. Więc jeśli skaut spotka człowieka potrzebującego jakiejkolwiek pomocy, poratuje go, chociażby przez to stracił trochę czasu lnb grosza. Skaut musi być, w miarę sił swoich, pożytecznym bliźniemu. W przeciwstawieniu do chłopca wychowanego w salonie, gogosia, skaut ma przyzwyczajać się do pracy, poznawać rzemiosła, uczyć się pilnie. Skaut nie jest snobem tj. nie wywyższa się ponad mniej zamożnych, lub mniej uzdolnionych, gdyż wie, że ludzie słyną, nie z urodzenia ani stanowiska, lecz z pracy i uczciwości.
5. Skaut jest rycerski. Dla kobiet jest grzeczny, dla dzieci wyrozumiały, uprzejmy dla obcych, dla swoich serdeczny, dla kalek ubogich i wdów usłużny. Kobieta jest słabszą istotą od mężczyzny i już sama natura przeznaczyła mężczyznę na opiekuna dla niej, to też skaut nigdy kobiety nie skrzywdzi i będzie jej pomocnym.
6. Skaut jest karny i posłuszny, wykonuje natychmiast każde polecenie swego przełożonego i wszystko co tylko przewiduje prawo skautowe.
8. W drużynach skautowych zaprowadzono karność wojskową, która wymaga bezwzględnego poddania się przełożonemu. To też nie tak łatwo do niej się nagiąć nam, gdyż dawno mieliśmy własne wojsko i nasza karność wojskowa poszła już w zapomnienie. Bez karności nie może istnieć żadne, nawet największe państwo. W posłuszeństwie powinniśmy się ćwiczyć. Łatwo spełnić rozkaz, jeśli jego wykonanie jest przyjemne, lecz skaut spełnia bez szemrania nawet niemiłe rozkazy, a nawet takie, które nie zgadzają się z jego przekonaniem.
9. Skaut śmieje się i gwiżdże w najcięższem położeniu. Skautowi przystoi tylko odwaga, a ta wesołość jest oznaką pogodnych myśli. Nie przystoi młodemu człowiekowi iść z żałobną i zafrasowaną miną. Skaut jest zawsze śmiały, a nawet w nieszczęściu nie traci rezonu.
10. Skaut jest oszczędny, aby na przyszłość módz z własnych kapitałów żyć i nie być ciężarem rodziny lub społeczeństwa.

Mamy tworzyć nowe pokolenie ludzi, którzy będą umieli nie tylko pieniądz, ale i czas oszczędzać. Tylko pracowity człowiek umie oszczędzać; gdyż pojęcie oszczędności czasu i pieniędzy jest to samo.

Każdy grosz zbywający składa skaut do kasy. Bogactwo kraju zależy od bogactwa obywateli, a tylko kraj bogaty materyalnie może być niezależny.

Ruch w Towarzystwach.

Towarzystwo św. Stanisława Kostki we Lwowie. Dnia 8. września obchodził Lwów wielką uroczystość jubileusz powstania z r. 1863.

Zabiły żywiej serca po polsku czujące, a miasto całe ustroiło odświętnie okna swych domostw nalepkami illuminując uroczystość. Już od rana płynęły gromady ludzi na plac powystawowy, aby tam przed pałacem sztuki, (w których obecnie mieszczą się te relikwie bohaterskich walk za wolność) oddać hołd uczestnikom powstania.

Nie pozostało w tyle i nasze Tow. Ze sztandarem św. patrona i własną orkiestrą na czele opuściliśmy i my mury zabudowań i udaliśmy się na plac powystawowy, niosąc wieniec dla tych, którzy nie doczekali tej uroczystej chwili 50-lecia i śpią pod krzyżami snem wiecznym.

Po podniosłych i porywających mowach pod pałacem sztuki wyruszył około godz. 11 potężny pochód na cmentarz Łyczakowski.

U wyjścia z placu przed zabudowaniem bursy Wasilewskiej-Boberskiej stanęli nasi sędziwi ojcowie-powstańcy. Obok nich zajęła miejsce orkiestra naszego Tow. i zadęła w trąby. Odbywała się defilada.

Szły oddziały za oddziałami miarowo, raźno, a nad niemi chwiały się sztandary i raz w raz rozlegała się gromka komenda, głuszona dźwiękami „Warszawianki“ „w prawo patrz“, a wzrok starców-weteranów prześlizgiwał się ze sztandarów na oddziały, kapelusze sokole, czapki drużyn, lub odświętne stroje obywateli czy też przetarte bluzy robotnicze, ścigał płynące niby rzeka zastępy i łza radości zwilżyła oko tych, którzy z bagnetem szli na armaty i od śmierci bronili się tylko odwagą i śmiałością serc.

Pochód przeszedł przez miasto i utonął w bramie cmentarza Łyczakowskiego — jedna część zebranych poniosła wieńce, druga zaś zebrała się pod wspólnym

krzyżem uczestników 63 roku, gdzie nastąpił dalszy ciąg przemówień.

Około godz 2 ukończyła się uroczystość na cmentarzu — wszystko rozeszło się do domów, aby po południu udać się na plac powystawowy, gdzie odbywał się festyn na rzecz weteranów. Na festynie nie zabrakło również orkiestry naszego Tow., bo poczuwamy się do świętego obowiązku czcić tych, którzy przed nami próbowali zerwać kajdany gniotącej niewoli i zostawili nam przykład, jak iść, jak czcić i jak kochać.

Obchód ostatni pozostawił po sobie w duszy każdego z nas rozbudzone dążenie do szybszego uzyskania tego, co treścią naszego życia stało się tj. wolności.

Rocznice: W tym roku i w tym miesiącu przypadają nam 2 wielkie rocznice. Jedna to stuletnia rocznica śmierci ks. Józefa Poniatowskiego, który zginął w nurtach rzeki Elstery pod Lipskiem.

Druga to rocznica ks. Kaysiewicza, księdza działającego na emigracyi w Paryżu i założyciela dziś istniejącego zakonu OO. Zmartwychwstańców. O ludziach tych napiszemy obszerniej w przyszłym numerze.

Sen terminatora.

Terminował Franek u starego, gderliwego majstra. Całe dnie pracował ciężko za to, że mu dawano liche jedzenie i nocleg. A zawsze szło mu życie jednym trybem. Wcześnie rano wstawał, budzony przez suchego czeladnika z rozczochraną fryzurą; potem pracował kilka godzin i pomagał czeladnikom; dostawał śniadanie w wielkim garnku, na którego dnie błyszczało ciemne, gorzkie kawisko. Wypiwszy to i wyskrobawszy dokumentnie z garnka nagotowany kożuch, szedł dalej do pracy.

Woził po ulicach żelastwo i na wózku o dwóch kołach wjeżdżał w płoty budowanych kamienic; z powrotem wyjeżdżał z próżnym i toczył go długo ludnemi ulicami, aż zajechał przed stary okopcony warsztat.

Po obiedzie znów to samo i tak aż do późnego wieczora.

Wtedy dopiero mógł odpocząć po znojnym dniu, więc po krótkiej modlitwie kładł się do snu na jakiejś starożytnej kanapie ze spłowiałemi różami na brudno-zielonem tle.

Naprzeciw stawiał sobie stary zydel bez kawałka nogi, a z kawałkiemdenka; na tem kapiącą świecę w automatycznym lichtarzu też nie pierwszej młodości i tak, przy tem świetle rozbierał się i kładł do snu.

Lecz nieraz nie mógł zasnąć odrazu po ułożeniu się na kanapie i okryciu kołdrą. dziurawą, a sędziwą.

Wtedy, przewracając się z boku na bok, myślał sobie: „Haruje człowiek, haruje ciężko, jak Boga kocham!

I za co? Niema nawet co jeść. Kawy gorzkiej, czarnej, jak szewska smoła, mierzy mi majstrusia jak na centymetry. I tak wszystko po ziarnuszku, po centymetrzyku, a bodaj cię!..

Kaszy daje, jakby nie kupionej u krupiarki, ino z apteki. A przecie ja niechcę lekarstwa tylko kaszy, zwykłej, hreczanej kaszy...

Takie były odczwania się żołądka. Ale nieraz były i jakieś ciche, nocne rozważania nad tem, jaka to smutna dola terminatorska, jak brudne niebieskie spodnie terminowca, jak nudny i ciemny warsztat ślusarski, jakie są mokre i błotne drogi, któremi toczy się dwukolny wehikuł, turkocący już z natury i od żelaza, które ciąży na nim zabójczo i podskakuje, ilekroć ugrzęźnie on w jamie bruku.

A te obrazy i przypomnienia terminatorskiej niedoli pokryte były jakby cieniem, były smutne i przykre, odymione, brudne.....

Pewnego razu, kiedy ukończył pracę i ułożył się do snu na owej starej kanapie, począł myśleć o tem, jaka to dobra rzecz być majstrem i tylko rozkazywać czeladnikom i terminatorom, chodząc sobie za interesami w tabaczkowym paltocie i z czerwonym krawatem na białym kołnierzu. Potem krawat przybierał ogniowy, krzycząco-czerwony, lecz wkrótce począł przechodzić w bronzowawą, ciemną barwę kawy z jaśniejszym kożuchem w niebieskim garnku barwę ciemnych łusek kaszy. Wreszcie wszystkie smaczności zlały się w jedną: czarną, głuchą noc, osłodzicielkę znojów...

Zasnał fantasta, biadający na brudy terminatorskie, a marzący o tabaczkowym paltocie i czerwonym krawacie na białym kołnierzu; tymczasem leżał w kącie warsztatu ponurym i czarnym, a starą kanapę osrebrzyło blade światło księżycowe i dziwne rozpostarło nad chłopakiem widma... (Dok. n.).

Mudry wojak. *(Urywek z listu)*

Kochany Władku! — Posyłam ci przez pocztę żądane ubranie wojskowe, ale że te wielkie guziki metalowe dużo ważą, więc kazałem krawcowi odpruć, dlatego żeby cię przesyłka drogo nie kosztowała. — Twój Antoni.

P. S. Guziki te znajdziesz w kieszeni od kurtki.

Nakładem Tow. św. Stanisława Kostki. Z drukarni Józefa Chęcińskiego we Lwowie. Odpowiedzialny redaktor: Bronisław Passek.

